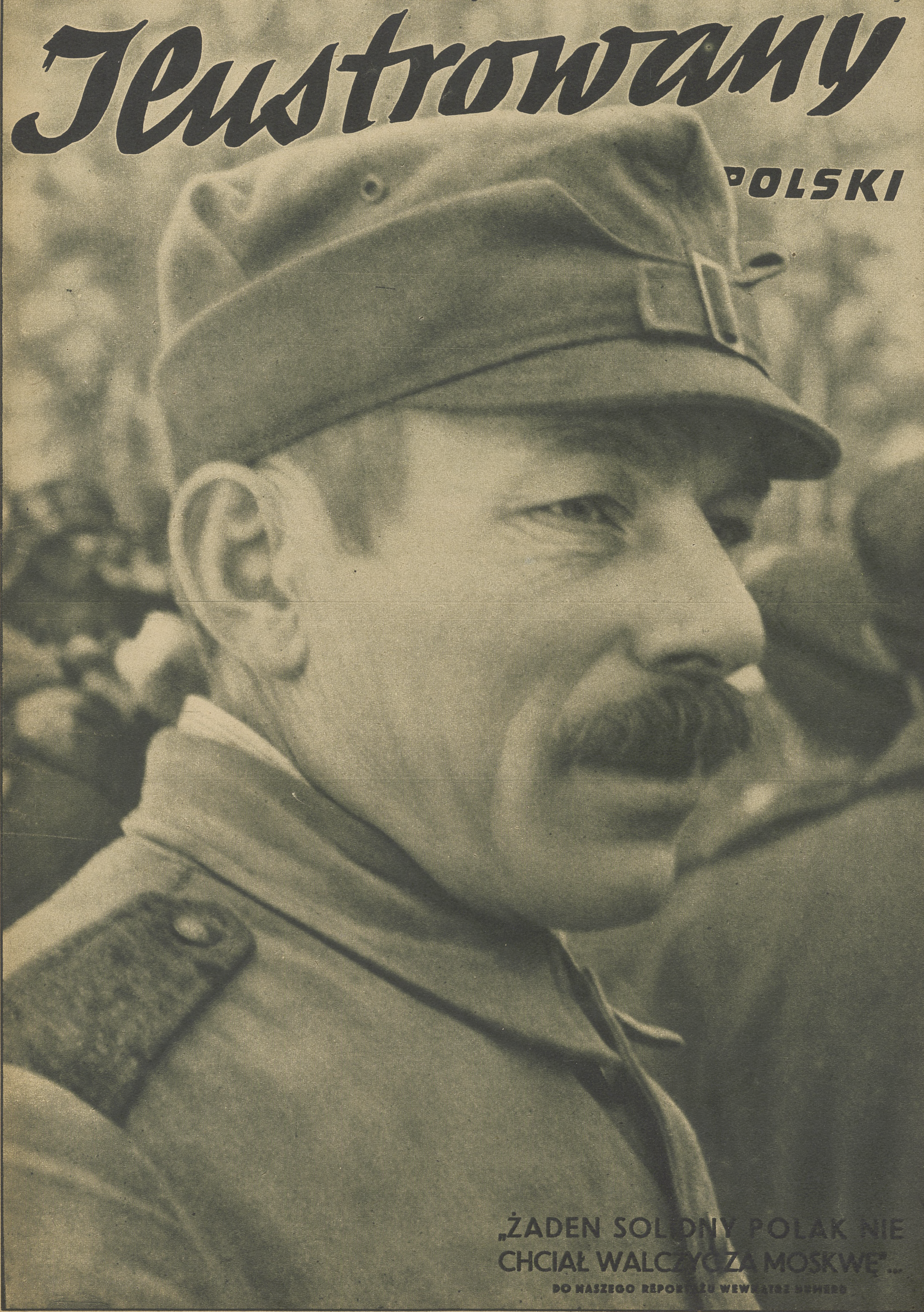
Nr. 50 Rok 4 Kraków, dnia 12 grudnia 1943. 40 gr.

Ilustrowany POLSKI



„ŻADEN SOLIDNY POLAK NIE CHCIAŁ WALCZYĆ ZA MOSKWĘ"...

DO NASZEGO REPORTAŻU WEWNĄTRZ NUMERU

„ŻADEN SOLIDNY POLAK NIE CHCIAŁ WALCZYĆ ZA MOSKWĘ!..."

W OBOZIE ŻOŁNIERZY POLSKICH Z DYWIZJI IM. „TADEUSZA KOŚCIUSZKI"



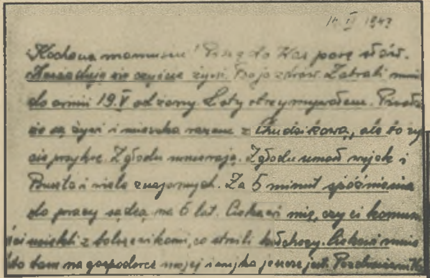






Powyżej:
Po przejściu polskich żołnierzy na stronę niemiecką, odbyła się w obozie uroczysta Msza polowa z kazaniem. Był to rozczulający moment, gdy żołnierze płakali słuchając po raz pierwszy od czterech lat Mszy św. Niektórzy z nich (zdjęcie na lewo) modlili się z książek do nabożeństwa zabranych niegdyś z domu rodzicielskiego i przez cały czas ukrywanych starannie przed bolszewikami.

Listy polskich żołnierzy do rodziny i przyjaciół.

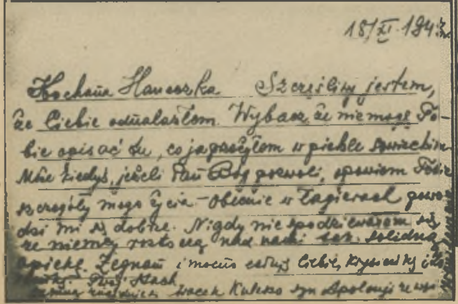


14 [illegible] 1943

Kochana mamusiu! Piszę do Was pare słów. [illegible] Zabrali mnie do armii 19.V [illegible] Zgłodu umarł [illegible] Za 5 minut spóźnienia do pracy sądzą na 6 lat. [illegible]

Na lewo:
Z listów pisanych przez polskich żołnierzy w obozie, przemawia ogrom męki, którą musieli wycierpieć w piekle bolszewickim i radość, że **już** wyswobodzeni są z niego.





18/XI 1943

Kochana Haneczka Szczęśliwy jestem, że Ciebie odnalazłem. Wybacz, że nie mogę Tobie opisać tu, co ja przeżyłem w piekle [illegible] [illegible] Nigdy nie spodziewałem się [illegible] Żegnam i mocno całuję Ciebie [illegible]





Powyżej i na prawo:
Zbiorowym i niekłamanym oskarżeniem jest wyraz malujący się na twarzy żołnierzy, kiedy opowiadają o swych przeżyciach u bolszewików. Niektórzy aż zaciskają pięści na wspomnienie tej — jak się wyrazili — „hordy bolszewickiej", która znęcała się nad nimi przez cztery lata.

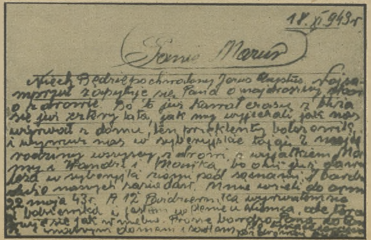


„W IMIĘ CZEGO WŁAŚCIWIE MY WALCZYMY? ZAPYTYWALIŚMY SIĘ NIERAZ..."

Są to słowa wyjęte z ust polskich żołnierzy, z dywizji im. Tadeusza Kościuszki, którzy w liczbie 600 przeszli niedawno na stronę niemiecką. Poznali oni dokładnie bolszewizm. Widzieli na własne oczy, jak wygląda życie pod panowaniem czerwonych władców. A rezultatem ich wrażeń i przeżyć było wykorzystanie pierwszej okazji i opuszczenie tego kraju ucisku i nędzy. Ludzie ci zrozumieli, że walczą jedynie w interesie bolszewizmu i mają przelewać krew za cudzą i znienawidzoną przez siebie sprawę. Dlatego też z czystym sumieniem postanowili uwolnić się od terroru i ucisku, skoro tylko będzie to rzeczą możliwą. Żołnierze polscy pojęli jasno, że żaden solidny Polak nie może walczyć za sprawę Moskwy, tej Moskwy, na której win krwawym koncie, figuruje nazwa „Katyń" oraz cierpienia ogromnych rzesz Polaków dziesiątkami tysięcy deportowanych w głąb Rosji sowieckiej. Na froncie skorzystali Polacy ci z pierwszej okazji, by na zawsze opuścić szeregi czerwonej armii. W pobliżu wsi Lenino koło Smoleńska udało się im urzeczywistnić swój zamiar. Jest rzeczą zrozumiałą, że postawa duchowa wojska była fatalną i że polscy żołnierze mieli tylko jedno życzenie, opuścić jak najprędzej „raj bolszewicki" i odważnie biegli wśród gradu kul i pękających granatów bolszewickich, by oddać się pod opiekę niemieckich żołnierzy.







18.XI.1943 r.

Drogi Marian [illegible]

Powyżej:
Kuchnia obozowa. Zaraz po przybyciu Polaków do obozu, niemieckie władze wojskowe roztoczyły nad nimi tak troskliwą opiekę, że w krótkim czasie znikły ślady ich cierpień i nędzy. Umożliwiono żołnierzom polskim porozumienie się z rodzinami, zamieszkałymi po tej stronie kordonu frontowego. W obozie istnieje już biblioteka, nadchodzą dzienniki polskie, są do dyspozycji gry towarzyskie, szachy, wreszcie instalacja radiowa.

Fot. PGG.

REWIA PARYŻA







W BALANSUJĄCEJ PODSTAWIE...
Komiczny zespół akrobatyczno-ekwilibrystyczny zbiera zasłużone oklaski swymi gimnastycznymi popisami. Oto scenka ze skeczu: „Ach! ta wiadomość... Trzymaj mnie, bo zemdleję!"



SPÓJRZ, MOJA DROGA, JAKIE TO PIĘKNE!
Nie tylko na scenie, w błyskach świateł i reflektorów można zobaczyć urocze twarzyczki. Wśród przyglądającej się programowi publiczności zwracają uwagę eleganckie Paryżanki w modnych toaletach i biżuterii, z kwiatami we włosach, milutkie i interesujące—jak zawsze.

NA SKRZYDŁACH REWII „PARYŻ W KWIATACH"
Piękne kobiety, artystki baletu kabaretu „Lido", czarują publiczność w symfonii tanecznej „W ogrodzie róż", prezentując taneczny hołd kwiatów dla swej królowej.



GDY ZASZCZĘKAJĄ KASTANIETY
Urocza tancerka z „Tabarinu", w hiszpańskiej kreacji choreograficznej, stanowiącej jeden z numerów rewii pt. „Miłość, Radość, Muzyka".



W TANECZNYM RYTMIE FINAŁU REWIOWEGO
Zespół taneczny kabaretu „Tabarin" zbiera huczne brawa w końcowym obrazie „Ogrodu Róż", personifikując kwiaty na tle stylowej i efektownej dekoracji.

WESELE HARMONII
W obrazie pod powyższym tytułem wprowadza rewia widzów w zaczarowany świat muzyki. Gośćmi weselnymi Harmonii są — symbolicznie rzecz biorąc, — melodia, dysonans, synkopy, nocturn, romans, sonata, symfonia itd. — oczywiście w postaciach kobiet, schodzących ku otwartej scenie po... olbrzymiej klawiaturze.



KOBIETY — TO ICH SŁABA STRONA...
Stali bywalcy kabaretowi — dotrzymują jak rok długi miejsca w gronie wielbicieli pięknych artystek. Zainteresowane miny świadczą najlepiej, że rewia przypada im do gustu.



SZEPT MIŁOŚCI
Fragmentaryczne „en deux" w obrazie baletowym rewii w „Lido", uzmysławiające „tete à tete" primaballeriny i zakochanego Pierrota.

Któż nie zna powiedzonka entuzjastów widowisk kabaretowych, że „kto nie był w Paryżu, ten nie zna raju..."! Wnikając głębiej w właściwą treść powyższych słów, stanowczo przyznajemy im słuszność, bo pod względem zawarcia w sobie istoty sztuki kabaretowej nadsekwańskiej stolicy, malują szczerą tylko prawdę. Paryż był, jest i zostanie wesołym miastem. Że był i zostanie też z całą pewnością siedliskiem lekkiego dowcipu i związanej z nim tak charakterystycznej francuskiej pikanterii, o tym wspominać chyba nie potrzeba. Miasto artystów, miasto malarzy, miasto w ogóle „cyganerii artystycznej" — już samo przez się predestynuje się do wytworzenia w swych rzeczach atmosfery beztroski, zabawy, figlarnego ujęcia wielu problemów, kultu piękności, co zaś z tym idzie specyficznej adoracji kobiety, jako reprezentantki harmonii linii ciała, nieodrodnej po wsze czasy córy kuszącej Ewy... Że humoru i radości nie brak faktycznie nigdy Paryżowi, świadczy fakt istnienia licznych lokali rozrywkowych, z których szczególną sławę zyskały nocne kabarety w rodzaju „La Lune Rousse", „Cabaret du Ciel", „Lido", czy „Tabarin". Wraz z mnogimi „Musichallami" tworzą one zespół przybytków lekkiej muzy, kędy naturalnie panuje wszechwładnie kobieta, we wszystkich przejawach swej istoty: od demona do amora, od „naiwnej" do wyrafinowanej. Myliłby się ktoś, sądząc, że prezentując w swych rewiach rajską nieomal nagość, nie mają poczucia dobrego smaku i daleko odbiegają od prawdziwego artyzmu. Rzecz ma się wręcz przeciwnie. Głęboko przemyślane kompozycje Wystawy Rewiowej na tle wspaniałych, kosztownych dekoracyj i drobiazgowej oprawy całości, pretendować mogą śmiało do nazwy sztuki. Symbolizowanie w poszczególnych obrazach dorobku kultury i zdobyczy ducha ludzkiego, apoteoza Piękna, Miłości i Polotu myśli — oto cechy poczynań autorów i wystawców głośnych paryskich rewij. Oczywiście — stetryczali moraliści nie mają czego szukać w reflektorach „Tabarinu", „Lida" czy innych paryskich... rajów. Fałszywa pruderia nie powinna też mieć wstępu do przybytku piękna. „Sztuka dla sztuki" — oto hasło, nadające się najlepiej dla sanktuarium upojnych wizyj, kędy ręce podały sobie Muzy.

Fot: Hanns Apfel, Atlantic

W PRACOWNI ARTYSTÓW

Fot: Eurofot



W kole:
Rzeźbiarka przy pracy. Po wielu szkicach i sporządzeniu modelu z gliny powstaje w końcu dzieło. Jednym z najpiękniejszych i najszlachetniejszych materiałów, używanych na rzeźby o mniejszych rozmiarach jest kość słoniowa. Nadaje się ona zarówno na rzeźbienie posążków jak i na sporządzanie różnych ozdób.

Poniżej:
Przeniesienie rysunku drzeworytu na papier jest rzeczą równie ważną jak wyrzeźbienie go na drewnianej płytce. Artysta sam sporządza odbitki. Na zdjęciu widzimy jak ostrożnie odrywa on nadrukowany już papier, od płyty.



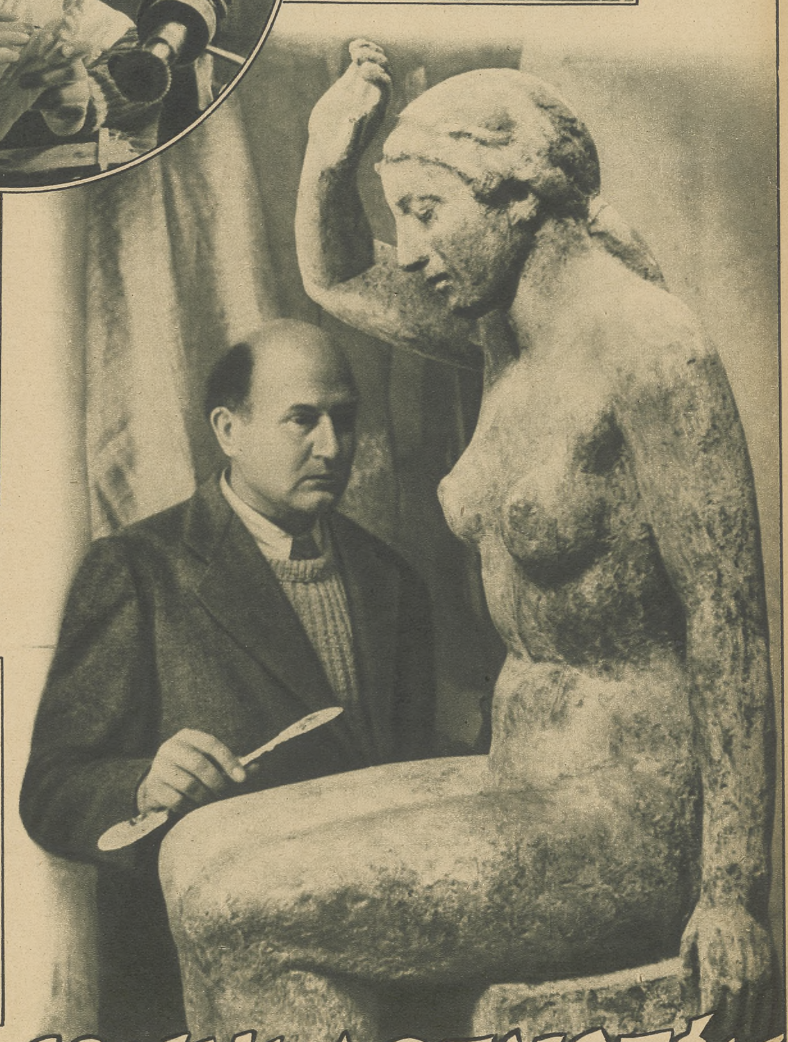
Poniżej:
Patrząc na gotową rzeźbę nie zdajemy sobie sprawy ani w jaki sposób powstała, ani ile trudów musi ponieść artysta zanim stworzy prawdziwe dzieło sztuki. Do bardzo interesujących należy wizyta w atelier artysty, gdzie możemy się przyjrzeć technice jego pracy. Na naszych zdjęciach widzimy rzeźbiarzy, snycerzy i grafika przy pracy.



Rzeźbiarka ta nie modeluje swych rzeźb w glinie, lecz od razu wykuwa w kamieniu według ołówkowego szkicu.

Poniżej:
Figura wyrzeźbiona z jarzębinowego drzewa. Bardzo pomysłowo wykorzystał artysta usłojenie drzewa dla wyrazistszego podkreślenia kształtów figury i uzyskania przez to większego efektu.





NAPISAŁ MILE BUDAK

ŻMIJARZ

— Z CHORWACKIEGO TŁOMACZYŁ W. PODMAJERSKI —

I.

Nie jest pewne, skąd przyszedł do tego, pewne jest tylko, że był jakimś dziwnym człowiekiem.

Mara Jowanowa szeptem i ze strachem przekonywała mnie, że wszystkiego tego nauczył się od czarownic na świętego Jerzego, jeśli nie od samego szatana — zetrzyj go święty Krzyżu!

Inni znów opowiadali, że Jur Tomiczić nauczył się tego gdzieś we świecie, gdy po odsłużeniu wojska przebywał kilka lat w Prusach.

Jak się nauczył, tak się nauczył — dość, że to umiał.

Powiedz mu tylko: „Zauważyły mi dzieci w chałupie czy w stajni węża; przyjdź, Jurze, proszę cię, zobaczyć" — to on już jest. Nie bój się o to.

Jak on to robi, tego nikt dobrze nie wie. Niektórzy mówią, że popatrzy w jakieś lusterko i zaraz widzi, gdzie wąż jest, a inni znów twierdzą, że ma jakąś piszczałkę i gdy tylko na niej zagra, to zaraz wszystkie węże, które to słyszą, spieszą zaraz do niego. Na jego rozkaz wąż posłusznie wchodzi do jego torby lub flaszki, a on to zabiera i odchodzi. Nikt nie wie, co robi z tymi wężami, pewne jest tylko, że czasem nosi ich całą torbę.

II.

Gdy odsłużył wojsko, nie wrócił do domu. Znikł, jakby się zapadł w ziemię. Nikt nie wiedział nic o nim, aż zeszłej jesieni pewnego wieczora zjawił się we drzwiach. Ledwo go i sami domownicy poznali, tak się oporządził, przyoblekł i zmężniał, a gdy w drugą niedzielę przyszedł do kościoła, między ludzi, wszystkie oczy zatrzymały się na nim, dziewczęta wzdychały ukradkiem, a matki poczęły snuć plany...

Bo jakże! Dom Tomicziciow bogaty, a w nim taki dziarski chłopak — ci mogą wybierać i ciężko będzie znaleźć dla niego dziewuchę.

Jur podawał rękę mężczyznom, z kobietami ściskał się i całował, dziewczętom kiwał ręką, ze wszystkimi szczerze i po prostu rozmawiał, jak gdyby nawet nigdzie nie był we świecie i nic tam nie widział i nic nie słyszał. Na wszystkie zapytania o swym pobycie na obczyźnie odpowiadał krótko i niejasno, więc też i nikt właściwie nie wiedział, co on tam naprawdę robił; widać było jednak, że mu tam nie było źle.

Zmienił się też bardzo. Przed wojskiem był hardy, prawdziwy galgan ,który nawet diabłu gotów był plunąć w oczy, a wrócił jakiś łagodny i dobry i miękki nawet w języku. O każdym mówi tylko dobrze, każdego umie usprawiedliwić i każdemu wybaczyć.

Stał się z nim po prostu — Boże wybacz! — jakiś cud czy czary jakieś. Ludzie opowiadali o nim, poszeptywali, a on unosił się wysoko nad nimi jakby w jakiejś delikatnej mgle.

A dopiero kobiety jak mu się dziwią! Przed wojskiem — nie było ni dziewki ni młódki, której by nie skubnął, lub nie uszczypnął, ile razy tylko nadarzyła mu się sposobność, a teraz nic, zupełnie nic... Nawet żadnej nie dotknął, tylko zawsze tak miło i słodko: „Siostro moja to i to, siostro moja, tamto" — i ze wszystkiego nic. Ale tylko oczy, te jego ogromne, czarne i ogniste oczy! Te pozostały ciągle te same, a gdy tak rzuci nimi na gromadkę dziewuch, to aż drętwieją, krew im uderza do twarzy, ciarki wychodzą od głowy do pięt, a ręce w zakłopotaniu ściskają jedna drugą, że wszystkie kostki strzelają.

III.

Tak przeszła zima. Na wszystkie strony go żenią, a on ani z jedną nie zagadał poważnie. Ale jest w tym coś niezwykłego. Powiadają, że często chodzi na prządki tam pod Pilar, przeszło dwie godziny drogi. Po co, dlaczego? — nikt nie wie, lecz wiadomo, że tam w domu Iwana jest córka Joży Maria, dziewka na schwał, że nie można się jej dość napatrzyć. Gdy ona zatańczy w kole, to wszystkie oczy zapatrzone w nią i nawet liście na stuletnich lipach przestają drgać aby się jej napatrzeć. Jest tam ona, krasawica, kobieca duma, a rodzina poważna, ale nie jest całkiem pewne, czy to przez nią Jur tam chodzi. Sam nikomu nic nie mówi, a gdy go ktoś pyta, on tylko się uśmiecha swoim łagodnym i dobrym uśmiechem i odpowiada, aby tylko coś powiedzieć.

Ale nowa rzecz rozniosła się znowu po wsi niespodzianie. Nie chce się wierzyć, ale — odkąd słońce przygrzało, odkąd węże się pojawiły, dziwne głosy rozeszły się o Jurze Tomicziciu. Powiadają — niech Bóg będzie z nami — że jak wariat chodzi po górach i niwach i chwyta węże i żmije. Białe, czarne, pstre, wszelakie. Jaki mu tylko przyjdzie pod ręce, on go bierze do ręki, za pazuchę i gdzie tylko chcesz.

Dziwom się dziwiono po wsiach i żegnano krzyżem świętym, ale nic nie pomogło. Prawda jest taka, że Jur jest żmijarzem!

Mądrym kobietom teraz dopiero stanęło przed oczami, teraz dopiero stało się im jasne, co on robił parę lat w obcym świecie. Naturalnie. Nie jest to bez diabła. Gdyby to była z Bogiem robota tyle czasu, byłby się na pewno odezwał do swoich, jak każdy inny chrześcijanin. Ale tak... Nic innego tylko był na nauce u diabła — zetrzyj go święty Krzyżu!

Rozniosła się po wsiach ta dziwna wiadomość i hańba i gdyby Jur nie był tak dobrego serca, taki łagodny i uprzejmy dla każdego, na pewno byłoby się i co złego przydarzyło, bo to nie łatwo znosić spokojnie człowieka, który z diabłem jadł i naukę jego przyjął. I proboszcz uspokajał ludzi. Radził i tłumaczył, że to jest, co prawda, niezwykłe i dziwne, ale przecież — z bożą wiedzą.

W rzeczywistości pomogło i to, że wydarzyło się szybko jeden po drugim kilka wypadków, iż Jur w chatach i koło chat pochwytał kilka żmij i to nie tych białych, wodnych, ale wszystko same miedzianki. Jak ćmy powrzucał je do flaszki i nikomu nic się nie stało. I — patrzcie — jakie cudo! Jednego razu dzwonili akurat na południe, a Jur zdjął czapkę, przeżegnał się i wpędził węża do flaszki. W każdym razie to był najlepszy znak, że ksiądz proboszcz miał rację i że siła i moc Jura — jest z mocy bożej. Rozniosło się to zaraz z błyskawiczną szybkością i lżej się jakoś zrobiło ludziom, a szczególnie kobietom. Zrobiło się im wprost przyjemnie, że tak jest i że mogą znowu spokojnie, miło i tęskliwie patrzeć na dziwnego i uwodzicielskiego mężczyznę.

Mimo wszystko przezwisko nie dało się zarzucić. Pozostał Żmijarzem.

IV.

Jur wiedział o tym wszystkim i nic sobie z tego nie robił. Spokojnie, wesoło i mądrze wykonywał swoje prace domowe, łowił węże i — coraz częściej i częściej zachodził pod Pilar na prządki.. Teraz wiedziało się już na pewno, dlaczego on tam chodzi, aż do trzeciej parafii, lecz nikt mu nic nie zarzucał, a tylko obgadywano go za plecami. Przecież to niezwykle i nie do darowania już samo to, że latem chodzi i łazi całymi nocami zamiast spać. Gazdowski syn, ale wszystko jedno. Chłop musi pracować, więc w nocy powinien spać, a nie łazić gdzieś tam — niech Bóg będzie z nami! Jakby na drugi koniec świata.

Gadki o jego zawodzie dotarły i do Marii. Dziwiła się, lecz nie odważyła się nawet wspomnieć mu o tym, lub coś go o to zapytać. Toć zresztą, nawet to do niej nie należy. To chłopska robota, co on robi, więc nieładnie byłoby z jej strony, gdyby się ona w to mieszała. Zwłaszcza już teraz, kiedy dla niej nie jest jeszcze niczym. Ale była jedna rzecz, która ją jednak bardzo niepokoiła i nieustannie ją piekła jak otwarta rana i naglila, żeby mu jednak wspomnieć, żeby go jednak spytać.

V.

Pewnej nocy stali wśród śliw koło jej chałupy. Trzy kroki jedno od drugiego. Długo milczeli.

— Ja myślę — przerwał on milczenie — że kiedyś po świętym Michale...

Ona w milczeniu i z opuszczoną głową patrzyła w ziemię, przebierając palcami po fartuchu.

Słówka o miłości

Miłością a nie równowagą i zastanowieniem osiąga się prawdy najczystsze i najwznioślejsze.

Anatole France „Tais"

Miłość posiada taką potęgę, iż nawet ludzie tchórzliwi dokonują pod jej wpływem rzeczy, nad którymi niejeden odważny zastanowiłby się dwa razy.

Heptameron „Opowiadania Królowej Nawarry"

Miłość w wieku pary i elektryczności przypomina kolej żelazną. Jeździ prędko i bierze pasażerów ilu się da.

Bolesław Prus

Higiena i miłość nigdy nie będą w zgodzie, albowiem pierwsza poleca owoce dojrzałe, a druga ich nie znosi.

Henryk Sienkiewicz

Miłość to rodzaj szaleństwa, które hańbą okrywa kobietę, jeżeli mu pozwoli trwać dłużej niż 40 dni (ten sam czas to wielki post) nie uświęciwszy go sakramentem małżeństwa.

Ks. Clement z „Lamiel" Stendhala

Miłość jest największym ze smutków ziemi, gdyż jest największym wysiłkiem jaki człowiek czyni, aby wyjść z samotni swej wewnętrznej jaźni.

D'Annunzio „Triumf śmierci"

Najpiękniejsza i najbrzydsza kobieta prawie nigdy nie potyka się na kamieniach, ale zawsze na kwiatach.

A że łąka życia przed nią barwi się cudnie bogato — —

więc jak często upada —
aby zrywać kwiaty.

Wiktor

Miłość Twoja dla mnie jest bardziej zmienna, niż odbicie palmy w wodach jeziora prutego łodziami.

Jezioro po oddaleniu łodzi, staje się zwierciadłem, ale serce twe kryje podejrzliwość mimo przebaczenia.

Amarou

— No, jak będzie? — podjął po chwili. — Zapytaj matki. Z moimi pójdzie łatwo.

— Boję się — wyszeptała.

— Czego się masz bać! Jakby to było co wielkiego. Powiesz jej i już.

— To daleko.

— Do Michała?!

— Taaak! Jakiś ty?!

— A co?

— Wasz dom... Gdzie to tam!

— W Riczicach.

— Tak, tak, ale to aż w trzeciej parafii.

— No to co z tego?! Przecież i twoja matka z naszej parafii.

— Ona już o tym zapomniała.

W tej chwili wybiegła z chaty Ika, młodsza siostra Marii i szepnęła jej:

— Tata pyta o ciebie.

— Coś mu powiedziała?

— Żeś u Bilowiciów. Posłał mnie po ciebie.

— Zaraz, zaraz — wmieszał się Jur — Zaczekaj chwilę.

Bez słowa odsunęła się dziewczyna kilkanaście kroków na bok i stanęła pod jakimś drzewem.

— Widzisz — rzecze Maria drżącym głosem. — I ona też się boi.

— Czegóż się i ona boi?! — spytał zdziwiony.

— Boi się o ciebie. Wiesz...

— Co się ma bać?! Chyba mnie przecież nie zabiją twoi domownicy.

— To nie o to idzie. Ona się boi... My wszyscy się boimy...

— Czegóż się boicie, dla Pana Boga?! — dziwił się Jur. — A boisz się i ty?!

— No... dlaczego ja bym się miała bać?... Nie jesteś mi jeszcze niczym, to dlaczego miałabym się bać?!

— A czymże jestem dla Iki, że to ona się o mnie boi i czymże jestem dla wszystkich, że się boją o mnie, prócz ciebie?

Maria znalazła się jak na prawdziwych mękach i nie wiedziała, jak wyjść z tego.

— Wiesz... — przebąkiwała. — I ja. I ja. Żeby ci prawdę powiedzieć.

— Więc i ty się boisz o mnie?!

— I ja też.

— Dlaczego się boisz, Mario? — spytał miękko, ciepło i przysunął się do niej całkiem blisko.

Ona odsunęła się od niego, krew jej uderzyła do głowy i w tej chwili poczuła w sobie nieodpartą chęć i potrzebę, żeby mu powiedzieć.

— Wiesz — rzecze — my się wszyscy boimy przez te przeklęte wężyska. I... matka dlatego też się boi.

— A więc i ona? — spytał Jur stanowczo. — Więc i ona wie! I co mówi?

— Boi się... i nie pozwala... Wszystko przez te przeklęte...

— Nie pleć, Mario — wpadł jej Jur w słowa. — Węże nic nie są winne. One o wiele lepsze od ludzi. One się tylko bronią, a ludzie gryzą serce, mózg... Napadają.

— No, tak, ale te jadowite?!!

— Nawet jadowite nie są złośliwe. One mi nic nie zrobią, bo czują, że je lubię jak brat. One mi są jak siostry.

— Bóg z tobą, Jurze! Nie grzesz!

— To nie grzech, moja Mario. Grzechem jest nie umieć kochać przyrody i przez to nie móc nią władać, a ponosić szkody. To jest grzechem!

— To ty i wilka lubisz?!

— Dlaczego nie miałbym go lubieć, skoro go Pan Bóg stworzył takim wspaniałym i odważnym?

— Bóg z tobą, Jurze!

— Wszystko to stworzone z powodu nas ludzi i dla nas.

— I niedźwiedzie i smoki też?!

— A juści! A juści!

— I miedzianki?!

— I miedzianki też!

— Och, ja nieszczęsna do samego grobu! — westchnęła Maria boleśnie jakby raniona.

Jur przyskoczył do niej szybko i ujął ją za rękę.

— Nic się, skarbie mój, nie bój o mnie — szepnął jej łagodnie i bratersko ciepło. — Nic mi się nie stanie. Mnie Pan Bóg strzeże. Ja panuję nad sobą, bo jestem także i nad żmijami panem. One się mnie nie boją, bo wiedzą, że je lubię, to mnie słuchają jak dzieci.

— Och, ja nieszczęsna! I miedzianki też cię słuchają?!

— I miedzianki też. I poskoki. I wszystkie. Tylko gdybym się ja kiedy przeraził, byłbym gotów... One by to zaraz poczuły.

— Och, ja biedna, ty się kiedyś przerazisz.

— Nie... A jeśli się przerażę, to słusznie mi się tak stanie! Tchórz nie może być nikomu panem... a cóż dopiero takim mądrym stworzeniom.

— Wiesz, Jurze: kobietą jestem i przebacz mi, ale ja myślę, że trzeba wszystko to zabić, czego mógłbyś się ty przerazić i ponieść szkodę. Zabić bez miłosierdzia. Jeśli się tylko macie spotkać! Każdemu wężowi trzeba urwać głowę, zanim cię ugryzie. Mówisz, że są ci jak siostry, ale tylko póki się ich nie boisz. Gdy się tylko przestraszysz staną się dla ciebie śmiercią. Gdy tylko będą mocniejsze od ciebie! W takim razie bądź ty dla nich śmiercią, a nie bratem, póki jesteś mocniejszy. Zabić, zmiażdżyć im głowę, albo — nie spotykać się nigdzie i nigdy...

Maria mówiła, jakby nie panowała nad sobą, jakby w gorączce.

— Zabić, zmiażdżyć im głowę — powtarzała. — Zabić, albo się nie spotykać... Ja się bardzo, bardzo boję. I matka też...

— Nic się, Mario, nie bój. Nic mi nie będzie.

— I nie daj Boże, ale ja się boję i wiesz, Jurze, dlatego matka nie chce nawet słyszeć... Dlatego, dlatego, a nie z powodu tej odległości. Mówiła mi. I tata... I on też.

— Chodźże, Mario! — odezwała się Ika przytłumionym głosem. — Tata czeka.

— Będzie źle — szepnęła Maria bolesnym głosem i wyciągnęła ręce z jego rąk. — Musiałam ci to powiedzieć. Z Bogiem!

Zniknęła w tej samej chwili.

Jur stał jeszcze na tym samym miejscu jakiś czas jak zaczarowany a potem powolnym i niepewnym krokiem zniknął w ciemności.

— Wszyscy się boją — szeptał sam do siebie — i dlatego nie chcą mi jej dać... O Mario, mój skarbie... nie przestraszę się ja nigdy. Dlaczego miałbym się przestraszyć i z jakiego powodu?

Nigdy dotąd nie pomyślał o strachu. Nigdy.

I zawsze zachowywał zimną krew i zawsze był zupełnie spokojny.

Dlaczego miałby się bać? Żmije. To i co, że żmije? Że jadowite?

Nawet jadowite. To nic nie znaczy. Mucha jest podlejsza i niebezpieczniejsza od węża, a nikt się tej podłej i brudnej muchy nie boi, wszyscy zaś drżą przed piękną i zwinną żmiją...

Przyszedł do domu przed świtem i jak był spocony i w butach, rzucił się na słomę.

Jeszcze nawet dobrze nie zamknął oczu, gdy matka jego weszła do stajni i zaczęła poklepywać krowy.

Wstał jakiś niezwykle przygnębiony i zmęczony, a w głowie nieustannie kręciły mu się myśli:

— Przestraszyć się?! Dlaczego miałby się przestraszyć? — Zabić, zabić, tylko zabić... A właściwie za nic...

VI.

Postanowił, że pomówi z matką. Powoli zeszedł z legowiska.

— Wczas wstajesz, synku? — odezwala się najpierw matka.

— Tak, matko.

— Jakiś zmęczony jesteś.

— Uważaj, matko, bo cię łysula trąci.

— Nie, nie. Na, łysula, moja kochana! ... Ale — zdaje mi się, żeś jakiś nie wyspany.

— A tak, matko. Żeby prawdę rzec, co dopiero wróciłem spod Pilara. Wiesz ...

— Tak, tak. Mówią o tym. I wszyscy muszą pierwej wiedzieć niż twoja matka.

— A no, to tak zawsze bywa, matko. I wiem, że będziesz zadowolona. Ale, wiesz, żebyś tak kogo posłała tam do nich. Tak ... Żeby pogadał.

— A mówiłeś ojcu?

— Powiedz mu ty. Ja się wstydzę.

— A nie wstydzisz się żenić?! — dorzuciła matka i uśmiechnęła się niezwykle ciepło, ciepło i miło, po czym podeszła do swego jedynaka, pogłaskała go po twarzy jak dziecko i pocałowała go w czoło. — A tego się nie wstydzisz?

— E, no ... kiedy to tak ... Ale poślij tylko kogoś jeszcze dzisiaj.

— Oho?! Tak ci się spieszy?!

— Tak, matko. Co ma być w jesieni, niech będzie już dzisiaj. I ... żeby prawdę rzec: słyszałem coś, że Ciubelicie coś knują, żeby ją za wszelką cenę dostać dla swego Iwana. A wiesz — to też znaczna rodzina i chłopak lepszy ode mnie, więc — kto pierwszy, to tego dziewczyna.

— Od ciebie lepszy chłopak?! — wykrzyknęła kobieta. — E, mój synku. Nie ma nad ciebie żadna matka lepszego zuchal

— Ty nie masz! — wtrącił Jur, śmiejąc się.

— Jak tylko o to idzie, to dziewucha tylko boża i nasza.

— Uważaj, matko, cielę wszystko wyssie.

— Nie, nie. Moje małe, kochane ... Nic się nie bój. Jeszcze dzisiaj ciotka Kata i wujna Marta pójdą z wódką pod Pilar.

— I pomów z tatą. Proszę cię.

— Nie bój się ... Już wie. A pytałeś Marię o tego gada Ciubelicia?

— Jak mówisz, matko, że on gad?

— Tak. Jakby ci dziewuchę odebrał!

— E, kto chce dziewuchę wyprosić, ten musi portki orosić, a póki dziewucha niczyja ... rad się idzie w rosę. Za taką!

— Warta, warta. Ale czy pytałeś ją o Ciubelicia?

— Nie. Ni ona jeszcze na pewno nic nie wie. Wiem tylko, że się z nim nie spotykała. Jednak ... trzeba się spieszyć.

— Nic się nie bój. Matka to wszystko zrobi.

— Nie boję się, matko, ale tak tylko naglę. Ja się nie boję ... Ja się nigdy nie przerażam. Tak tylko ...

— No, wiem. Wszyscy mówią, żeś zuchowaty ... I te tam twoje ... Chwytasz je, jakbyś kwiatki zbierał ...

Jur trochę się wzdrygnął na te słowa matczyne, jakby go dreszcze obleciały.

— No tak, tak — rzekł powoli. — Dlaczego nie miałbym je łapać?! I tutaj ja się nigdy nie przestraszę. Dlaczego miałbym się przestraszyć?!

VII.

Przyszli nawet aż spoza Graczca, z Tominowego Gaju, po Jura. W stajni, powiadają, jest wąż i nie można się go pozbyć. Nic złego nie robi, ale ludzie się go boją.

— Trzeba by go znaleźć i zabić.

— Dlaczego zabić? — pyta Jur zdziwiony.

— Przecież to wąż, człowiecze boży! Jeśli nie my jego, to on nas.

— Sami przecież powiedzieliście, że nie robi nikomu nic złego, a mógłby, gdyby chciał.

— E, to tylko do czasu! Często to się tak zdarza, że jest długo spokojny, a potem naraz zabije bydlę, albo dziecko, albo co innego, co napotka.

— Nie, nie! — odrzekł Jur. — Nie: co napotka, ale kto na niego się natknie. On się tylko broni, gdy się przestraszy.

Przy tych słowach Jur niespodzianie się zamyślił. Oto znowu to samo: — gdy się przestraszy! Albo się przestraszy wąż, albo się przestraszy on — zawsze źle. Czy to tak samo i z nim będzie?

Ale, niemożliwe. On zawsze taki spokojny, taki opanowany, postępuje z taką miłością i z tak otwartym sercem, że nie może się nic przydarzyć.

— Przyjdę tam do was w który dzień — rzekł.

— A nie mógłbyś z nami pójść już dzisiaj? — spytali Graczanie.

— Teraz nie — odparł i przed oczyma stanął mu obraz Marii. Musi zaczekać, aż powróci ciotka Kata, żeby usłyszeć ... — Przyjdę jutro, albo wreszcie pojutrze. I nic się nie bójcie. Nic on bydłu nie zrobi. Ani dzieciom, ani nikomu. Tylko go nie straszcie. A nie bójcie się i wy.

Zakończenie nastąpi

BAŚŃ Z PŁOMIENIA I LIMBY

Na wysokiej skale stało miasto. Bogate i wspaniałe.

Sto wież zamkowych, tysiąc pozłacanych pałacowych szczytów wznosiło się ponad okoliczne pola, wsie i wioski.

W jego środku sterczały z dawien dawna stare ruiny zamczyska, ogrodzone murami. Wstęp za nie był wzbroniony.

Mieszkańcy miasta beztroskie wiedli życie.

Najemni robotnicy, mieszkający w szałasach za miastem uprawiali dla nich żyzne łany pszeniczne i urodzajne winnice.

Panowie ich przesypiali dnie, ozłacane promieniami słońca.

Noce spędzali na hulaszczych ucztach.

Co noc w innym pałacu. W salach ozdobionych przepysznymi sprzętami, jedli na złotych naczyniach, pili wino w kryształowych krużach.

Pustką stały otwarte świątynie.

Biblioteki i szkoły zamknięte były na sto zamków i kłódek.

Żaden z nich nie słyszał pukania blasków słonecznych do witrażowych szyb okiennych.

Nie znali wołania południowych hejnałów dzwonnych.

Budzili się dopiero wienczas, kiedy w gasnących zorzach wieczornych ciemniały wieżyce pałaców.

Służba stroiła ich w przygotowane szaty.

Piękni i dumni, jak bogowie szli do pałacu, w którym z kolei przypadała uczta.

Szalone to były uczty. Dzwoniły harfy. Kwiaty siały wonie. Wino krwawiło się w kielichach. Dźwięczały lutnie i śmiechy.

Pośród tej beztroskiej i swawolnej gromady znajdował się tylko jeden człowiek, który miał smutne oczy, a zmarszczki szpeciły jego twarz.

Był to burmistrz. Najmędrszy i najbogatszy.

Często w czasie zabawy znikał niespostrzeżenie i szedł niewiadomo gdzie. Wracał po długiej chwili z weselszą już twarzą.

Goście znali te jego dziwactwa, kpili z nich po cichu.

Żona jego wiedziała tylko, że znikał za ruinami zamczyska. Na próżno błagała go o wyjaśnienia tajemniczych wędrówek. Nie odpowiadał wcale.

Burmistrzowa była piękną, ale płochą i ciekawą kobietą. Podejrzewała męża. Postanowiła dowiedzieć się prawdy. W noc, kiedy zabawa wypadła na pałac burmistrza, nadarzyła się jej sposobność.

Burmistrz jak zwykle wśród gwaru i radości siedział osowiały i smutny. Żona wlała mu nieznacznie do kielicha z winem kilka kropelek płynu Prawdy.

Był to czarodziejski płyn. Kto skosztował jego jedną kropelkę ten musiał zdradzić nawet swoją największą tajemnicę.

Burmistrz napił się wina z kielicha: Za chwilę oblicze jego zaróżowiło się, oczy rozgorzały. Powstał, krzycząc te słowa: — Nieszczęśni, szalejecie radością, a miasto ginie. Podtrzymuje je tylko jedno ofiarne serce. Biada wam, biada, ratujcie się póki czas!!

Biesiadnicy obrazili się na te jego słowa i zawołali:

— Szaleniec! Co on mówi? Obraża nas!

On nie zwracał uwagi na nich. Zabrał ze stołu kawał mięsiwa, bochen chleba, omszałą butlę wina. Wybiegł z pałacu, a za nim jego żona. Goście pozostali i bawili się dalej.

Burmistrzowa biegła za mężem przez szerokie place, przez kręte ulice i wprost do ruin zamczyska. Bezszelestnie jak cień zeszła za nim do podziemi.

Tam znajdowało się podnóże, na którym stało miasto.

Skała rysowała się i pękała.

W największej szczelinie siedział mizerny, brudny człowiek. Koło niego płonęło światło.

Wytworny burmistrz pochylał się nad tym nędzarzem i wypielęgnowanymi dłońmi wkładał mu do ust kawałki pieczeni i chleba. Poił go winem. Całował po czole, zroszonym potem.

Widząc to — płocha kobieta poczęła się śmiać i szydzić złośliwie. Burmistrz odwrócił się szybko i odsłonił pierś siedzącego człowieka. Na wierzchu tej piersi biło bardzo duże i bardzo jasne serce. Wysnuwało z siebie promienie. Krzepły one na chłodnym powietrzu i zamieniały się w złote, twarde obręcze, które okuwały skałę i podtrzymywały ją.

Obserwująca nie widziała otwartego serca, ani pękającej skały. Śmiała się i szydziła złośliwymi słowami. Złe słowa jej uderzały prosto w jasne serce człowieka i zwolna gasiły w nim jasne blaski.

Gdy po chwili w podziemiach nastała ciemność, człowiek powstał, wyszedł z jamy i rzekł smutnym głosem:

— Straciłem moc serca. Muszę iść po nowy zapas sił do słońca.

Potem skierował się ku schodom, wiodącym na górę.

— Patrz niegodziwa, co uczyniłaś! Jadem złych słów zabiłaś ofiarne serce człowieka. Przez dwadzieścia lat na próżno czuwałem nad nim. Przepadło wszystko. Słyszysz, jak trzeszczy skała? Czujesz drżenie ziemi pod stopami? Biegnij szybko! Ostrzeż ludzi! Niech ratują się ucieczką! — I nie oglądając się na żonę, pobiegł za nędzarzem, wołając:

— Wróć się, wróć!!

Kobieta za późno zrozumiała swą winę Krzycząc przeraźliwie biegła ulicami miasta, ostrzegając ludzi. Usłuchała ją tylko służba, czuwająca przed bramami pałacu i uciekła z miasta.

Biesiadnicy upojeni winem, zmęczeni tańcem — nie rozumieli jej wołań.

Nędzarz już był daleko poza rogatkami miasta. Szedł z podniesioną głową, zapatrzony we wschodzące ponad górami słońce.

Burmistrz biegł za nim niestrudzenie i nakłaniał do powrotu.

Wkrótce od strony miasta dobiegł ich wielki huk. Ziemia zakołysała się pod ich stopami.

Obrócili się. Nie zobaczyli już wieżyc zamkowych i pałaców. Sterczały tylko rumowiska.

Skała, na której wznosiło się miasto, runęła, grzebiąc pod sobą piękne budowle z pysznymi mieszkańcami.

Serce burmistrza pękło z rozpaczy. Nieżywy padł na ziemię.

Nędzarz pochylił się nad nim i dotknął czoła jednym promieniem, który na chwilę zapłonął w jego sercu.

Martwy zamienił się w duże, szumiące drzewo — Limbę.

Samotna Limba tysiąc lat szumiała na górze. Uwiędła ze starości.

Wycięto ją i sprzedano na opał.

Kilka polanek z tej limby znalazło się w moim piecu. Palące się płomienie opowiedziały mi tę baśń.

Stanisława Nowakówna

Kie umierol Smaś z Gronika...

Kie umierol
Smaś z Gronika,
kazol sobie grać
„krzesanego" na gęślikak
i zaśpiewać
o zbójnikak
i ciupazke dać
do grobu,
ciupazecke dać! . . .

A dusycka
zasłuchana
w gęślickowy ton
i całuśko
rozśpiewana —
sła ku wirchom,
haw do Pana,
co to Gazdą On
nad gazdy
wśród gwiozdecnyk stron! . . .

E. KŁONIECKI



OSTATNI KOBZIARZ NA PODHALU

W tych dniach zmarł w Poroninie pod Zakopanem słynny muzyk ludowy, **Jan Mróz**. Dźwięków jego kobzy słuchały prawie wszystkie miasta polskie, do których był często zapraszany z okazji różnych uroczystości. Z repertuarem starych i nowych piosenek góralskich wyjeżdżał nawet za granicę. Dziś nie podejmuje się już nikt nauki na tym trudnym, niewdzięcznym, a jednak tak starodawnym instrumencie. Z chwilą jego śmierci kobza staje się zabytkiem muzealnym, a do grobu schodzi jeden ze znamiennych szczegółów folkloru.

NIEDZIELA SZAREGO CZŁOWIEKA

Stopniał pierwszy śnieg, przebrzmiał szatański marsz, który odegrał halny wiatr; zaczął padać obfity deszcz . . . Świat ubrał się w szary płaszcz mgieł. Ludzie zamknęli się w pokojach, by dać wypoczynek udręczonym przez halniak nerwom. Z przyjemnością przysłuchiwali się monotonnemu uderzaniu kropli deszczowych o zapłakane szyby okien.

Szary dzień, szary człowiek, szare życie i szare myśli zgadzali się znakomicie i było im razem dobrze. Lecz nie na długo.

Zaczął się buntować najprzód szary człowiek. Zapragnął dla swojego szarego życia słonecznego dnia i jasnych myśli.

Spełniło się jego życzenie. Przestało padać i ochłodziło się. Przyszły mroźne noce, po nich słoneczne, jasne dni.

Osłoniły się góry. Wzniesione nad ciemnozielone lasy, czarowały wzrok nieruchomością i białością. Na błękitnym jak ocean firmamencie unosiły się lekkie, białe bałwany obłoków, jakby oderwane od białych gór.

I szedł szary człowiek przed siebie. Uciekł po prostu od codziennych dni pracy, uciekł od dusznego, biurowego pokoju, uciekł od swego przewiewnego poddasza, by otrzepać się z trocin i śmiecia, których mu na głowę nasypał halny wiatr, a na duszę szare życie.

Uciekł . . . Zapragnął dotrzeć bliżej tej białości górskiej, tego błękitu niebios, tej ognistej kuli słonecznej, które go kuszą.

Przeszedł pospiesznie przez ulice miasta i zaszył się w las. Było sucho; przyjemnie, miejscami śnieg. Przez wierzchołki zielonych świerków zaglądało słońce; uśmiechało się i grzało.

Nasycił się widokiem świeżej zieleni i zapachem drzew szpilkowych, wszedł w dolinę, z doliny w głęboki wąwóz.

Szary człowiek stał się poetą.

Wydawało mu się, że idzie po dnie zielonego morza, którego powierzchnią porusza wiatr.

Na dnie cicho, spokój i wypoczynek. Na górze szum. Falują drzewa jak fale oceanu. A wyżej nad wierzchołkami lasu, dal jak nad bezmiarem morza, niekończący się błękit, a po nim, jak białe płatki płyną obłoki. Płyną w dal.

Szary człowiek na dole, w wąwozie odczuwał tylko rozpacz i myślał:

— Utonąć, zapomnieć o życiu poza wąwozem . . .

Wreszcie ustał szum w lesie, tylko jakby czasem coś w borze westchnęło i zaraz zapadał las w milczenie. Lecz w duszy szarego człowieka teraz prawem kontrastu oderwał się krzyk . . . przestać być szarym człowiekiem, a stać się szarą skałą, na której zazielenił się mech. Stać się szarą, nic nie czującą skałą, otoczoną zielonym lasem, pod którą płynie potok górski. Słońce całuje ją, deszcz obmywa, upał praży, mróz kruszy, lecz nie dotrze do tej kamiennej duszy. Pozbyć się tego łomocącego w piersi serca. Stać się twardym jak ta szara, zimna skała . . .

Szary człowiek zawrócił kroki; wychodzi z wąwozu, by wydostać się na szczyt tej skały i stanąć na niej.

Przed nim góry promieniejące w słońcu i białości śniegu. Przed nim ludzie, osiedla . . . Świat . . . Świat oświecony słońcem grudniowym. I szary człowiek, który przed chwilą chciał utonąć w cichym wąwozie, zapragnął lotu w świat, życia w słońcu.

Szary człowiek rozgniewał się sam na swoje sprzeczne myśli. Ruszył do schroniska.

Owionął go gwar ludzki . . . Wędrowni muzykanci grali na skrzypcach, gitarze i mandolinie. Wydało się szaremu człowiekowi, że grają tak pięknie, iż nawet góry zastygły w podziwie milczącym dla tej muzyki.

Wynędzniałe postacie muzykantów przypominały szaremu człowiekowi dzień powszedni i szare życie. Wypił herbatę, złożył parę monet przed uradowanymi muzykantami i wyszedł. Wyszedł . . . na błotnistą drogę do miasta . . .

I znów zaczną się na nowo szare dni . . . Niesamowite myśli pójdą precz. Zostaną tylko te, które nasuwa szara praca, szary obowiązek, szary dzień.

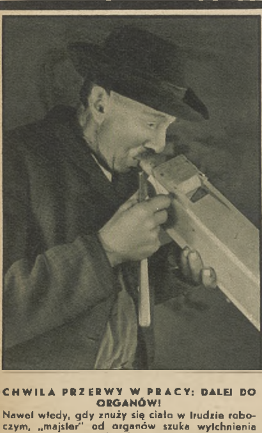
M. Skotnicowa

WIEŚNIAK ORGANMISTRZEM

W małej wiosce bawarskiej, żyje wieśniak, który obok ciężkiej pracy na roli poświęca się „dla własnej przyjemności" budowie artystycznych organów, uchodząc naturalnie za mistrza daleko i szeroko, a będąc w każdym razie rzadkością w tym względzie.

Już w młodości z pasją oddawał się ów organmistrz konstruowaniu organów, nic mając nawet żadnych naukowych podstaw ku temu. Wiele instrumentów tego rodzaju wyszło już od tego czasu z jego ręki, a w domostwie „wytwórcy" zainstalowane są też jedne takie organy, wbudowane w połowę drugiego piętra, bo inaczej zmieścić się nie chciały . . .

Oprócz celuloidowych klawiszów całość jest własnym „majstersztykiem" wieśniaka.



CHWILA PRZERWY W PRACY: DALEJ DO ORGANÓW!

Nawet wtedy, gdy znuży się ciało w trudzie roboczym, „majster" od organów szuka wytchnienia w umiłowanej ciesielce, bo ta go nigdy jakoś nie męczy . . . Przecie to do nowych organów!



W CISZY ŚWIĄTECZNEGO WIECZORU . . .

Z jakąś dziwną powagą i widocznym w wyrazie twarzy skupieniem, zasiada wieśniak-artysta do ukochanej, własnej konstrukcji organów. Wokoło zapada mrok . . . Spod spracowanych palców płynie w senną dal dźwięk za dźwiękiem.



NICZEM PROSTO Z FABRYKI!

Jedna obok drugiej, małe i wielkie, stoją równiusieńko własnoręcznej budowy piszczałki, ujęte w ornamentową drewnianą ramę. Same piszczałki też powstały z drzewa.

Fot. Eurofot

NOVASCABIN do niezawodnego i dogodnego leczenia świerzbu. Novascabin jest bezbarwnym aromatycznym płynem, nie plami, nie niszczy bielizny. Skraca znakomicie okres kuracji, czyniąc ją niekłopotliwą

NOVASCABIN

jest niezbędnym i niezastąpionym preparatem do zwalczania plagi świerzbu. Opakowanie: Flakon á 75 cm³ do jednorazowej kuracji. Cena flakonu 9 Zł. Do nabycia w aptekach i drogeriach

DR. A. WANDER, A. G. KRAKAU

PODARKI NA GWIAZDKĘ

Dla was dzieci!

polecamy nowe barwne książeczki wydane

NAKŁADEM KSIĘGARNI

MICHAŁA KOWALSKIEGO WE LWOWIE

FRANZ R.	— Zgaduj Zgadula . . . (Wesołe zagadki obrazkowe) . .	8.— zł
GRZYBEK J.	— Robinson Kruzoe. (Znane przygody)	5.— „
GRZYBOWSKI J.	— Koszałki-Opałki. (Wesołe przygody dla najmłodszych) .	7.— „
KRASZEWSKI J. I.	— Bajeczki. (Zbiór bajeczek dla dzieci)	18.— „
PASZKOWSKA Wł.	— Liskowe wierszyki. (Zabawne wierszyki dla małych dzieci)	9.— „
PASZKOWSKA Wł.	— Wesołe rachunki. (Książeczka rach. dla najmłodszych) .	—.— „
PORAZIŃSKA J.	— Baśń o siedmiu krukach. (Na wątkach baśni ludowej) .	12.— „
RENSTROM St.	— Bajka o królewiczu lenlu	—.— „
WALICKI J.	— Baśnie ludu polskiego. (Zbiór baśni ludowych) . . .	—.— „

Do nabycia w każdej księgarni



Dwa wagony towarowe

ważą około 20.000 kg. Z taką właśnie siłą tłoczą maszyny OSRAM proszek wolframowski, przetwarzając go na pręt; z prętu formuje się w żmudnej precyzyjnej pracy „duszę" żarówki OSRAM o podwójnej skrętce: jej 2× skręcony drucik o najwyższej wydajności.

Osiągnięte WYNIKI gwarantują za:

»OSRAM« oszczędza również prąd.

OSRAM

dużo światła — mało prądu.



Przypuśćmy że...



podczas zmywania zbiło się jedno z naczyń i rozcięliśmy sobie przy tym palec. Jak to najlepiej opatrzyć?

Czy może tak?

A może lepiej Hansaplastem elastycznym?

Lepiej wziąć Hansaplast. Ten praktyczny opatrunek doraźny tamuje krwawienie i działa odkażająco. Znosi także z powodzeniem chwilowe zmoczenie.

Hansaplast-elastyczny



Nie zwlekajcie!

Pospiesz się, kup jeszcze dziś los w Lottokolekturze, gdzie Cię może szczęście czeka! Ciągnienia odbywają się dwa razy w tygodniu. Za 1 Zł. można wygrać 3.600 Zł.! Im większa stawka, tym wyższa wygrana!

Informacje i przyjmowanie stawek w każdej LOTTOKOLEKTURZE

Lottokolektury znajdują się we wszystkich większych miejscowościach Gen. Gubernatorstwa

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900



— *Wyjdź, Karolku, tacy mali chłopcy nie powinni patrzeć, jak się dama przebiera.*
— *A za ile lat będzie mi to wolno, ciociu?*

Hamburger Illustrierte

— Jakto więc pani wychodzi zamąż za swego sublokatora? A przecież mówiła pani o nim zawsze, że nie ma ani grosza! Z czegóż zamierzacie się utrzymać?
— O proszę pani, my mamy swoje oszczędności. Z tego co mi winien mój sublokator za czynsz, możemy żyć beztrosko kilka lat.

•

— Biedny przyjacielu! Żeby stracić żonę po dwudziestu latach wspólnego pożycia, to przecież okropna rzecz.
— Tak rzeczywiście! Zwłaszcza, że już powoli zaczynałem się przyzwyczajać do jej obecności.



— *Czy będę musiał przez kilka dni w łóżku poleżeć, panie doktorze?*
— *Raczej przez kilka nocy, młody człowieku!*

Politiken, Dania



U KRAWCA

Ubranie jest wprawdzie troszkę za duże, ale to nic nie szkodzi, zaraz będzie w sam raz.

Münchner Illustrierte Presse



Na litość boską! Pani usiadła na moim mężu!

Söndagnisse-Strix-Szwecja

Sędzia: — Czy oskarżony może co dodać na swoją obronę?
Oskarżony: — Cóż jeszcze! Mam jeszcze dodawać? Już 500 zł dałem memu adwokatowi.

•

— Jak na imię twemu tatusiowi?
— Tatuś.
— Dobrze, ale jak go nazywa twoja mamusia?
— Stary bałwan.

•

— Pański kasjer prócz zabrania gotówki, podobno zabrał z sobą także pańską żonę?
— Tak prawdopodobnie dlatego, bym za nim nie wysyłał listu gończego.

•

Żona rozpaczając: — Zdradzasz mnie! Ale opłaciłam detektywa i wiem jak się ona nazywa!
— Zbyteczny wydatek — odpowiada spokojnie mąż — ja byłbym ci to sam powiedział.

•

— Nie rozumiem jak można tak palić jednego papierosa po drugim?
— Siła woli, moja droga, tylko siła woli.

•

— Jak się udał twojej żonie pierwszy popis kucharski?
— Nie bardzo. Wyobraź sobie, gotując obiad przypaliła nie tylko mięso ale i książkę kucharską.

•

— Na tej płycie słychać głos mojej żony!
— To wspaniale słuchać głosu nieobecnej osoby!
— To jeszcze nic, ale można w każdej chwili przerwać.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

WZOROWY MĄŻ

Że kocha żonę nad życie —
Dowodził żonkoś niezbicie
Sławiąc swą duszę niewinną . . .
Przyznano rację gromadnie,
Że kocha żonę przykładnie,
Lecz — cudzą i coraz to inną . . .

DAWNIEJ I DZIŚ

Jak pies zginąłby z mej ręki bluźnierca
Słusznie za kłamstwo ponosząc zagładę,
Ktokolwiek ongiś w mej wybrance serca
Śmiałby był znaleźć choćby jedną wadę.

Od chwili ślubu minęło lat wiele,
Tysiąc zmian zeszło z mej bogini cnotą . . .
I dzisiaj przyznać muszę wszystkim śmiele,
Jak wielkim ongiś byłem idiotą.

Dziś konia z rzędem i złota kaletę
Gdybym miał — dałbym chętnie temu w dani
Kto by choć jedną jedyną zaletę,
Umiał odnaleźć w sercu mojej „pani".

TEMPERAMENT

Ktoś mężowi w gabinecie
Zwraca uwagę w sekrecie
Na jeden mankament,
Że — błąd może to dziedziczny —
Żona jego sangwiniczny
Zdradza temperament.

Na to smętnie mąż odpowie
Po swojej się drapiąc głowie:
Mnie to nie zawadza,
Iże zdradza temperament,
I tu śmiesznym byłby lament,
Lecz ona — m n i e zdradza.

SŁODKA ZWIERZYNA

Pchła — chyba słodkim stworzeniem być musi, —
Taki dziś wniosek postawić mię kusi;
Bowiem pchły łapiąc w koszuli czy halce,
Niewiasta ciągle oblizuje palce.

U DENTYSTY

— Ach . . . ten ząb . . . ten ząb . . . jak boli! . . . —
Jęczy dama w gabinecie,
— Spać mi w nocy nie pozwoli,
— Życie truje mi na świecie . . .

A że gąska była tłusta,
Więc dentysta starszą damę
Prosi siąść, otworzyć usta,
Dalszym jękom kładąc tamę.

Wnet dentysta stracił ducha,
Stanęły mu włosy dęba,
Gdy zobaczył, że starucha
Ni jednego nie ma zęba.

I miał dość z przyczyny baby
Pan dentysta ambarasu:
Gwałtem chciała bowiem, aby
Wyrwał zaraz jej — ząb czasu.

Artur Lorek

KĄCIK KARYKATURZYSTY



Nauczycielka: — Synek pani posiada wybitne zdolności. On ma nawet wrodzone pragnienie wiedzy.
Matka: — O, tak, tak, proszę pani, to się zgadza. Wiedzę odziedziczył po mnie, a pragnienie po ojcu...

Rys: Jan Warzeszkiewicz — Kraków

— Pański kuzyn — to wartościowy człowiek.
— O tak. Kto go dostawi policji, dostanie pięć tysięcy złotych nagrody.

•

Służąca: — Proszę pana, już nie mogę wytrzymać z panią. Odchodzę.
Pan domu: — Szczęśliwaś Marysiu; ja niestety, nie.

•

— W jaki sposób oczyściłeś tak gruntownie kapelusz?
— Zamieniłem go w restauracji.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 34

Problem Nr. 22

Mgr. Edw. Arlamowski (I wzm. zaszcz. w konkursie „Lwowskiego Koła Problem." w r. 1942/II)

Czarne: Ke5, Ha3, Wc4, I g6, Gb8 i d5, Sc3 i g7, piony: b4, h3 (10)

Białe: Kh2, Hf8, Wb6 i d7, Gc2 i g1, Sg3 i g5, pion: e6 (9)

Mat w 2 posunięciach.

Rozwiązanie końcówki z nru 33 (Kubbel): 1. W—h4 G—b7 2. W×h2 W—h8 3. K—g4 W×h2 4. c8H G×c8 5. K—g3 W—h1 (h5—h8) 6. pat!
1 . . . W—h8 2. K—g5 W×h4 3. c8H h1H 4. H—c3 K—f2 5. H—d2 K—g3 6. H—e3 wieczny szach.

Partia Nr. 33

Białe: Dr. A. Aljechin — Czarne: E. Bogoljubow
grana w kawiarni 28 marca 1943 r. w Warszawie.
Gambit hetmański (katalońskí).

1. d2—d4 d7—d5
2. c2—c4 e7—e6
3. Sg1—f3 Sg8—f6
4. g2—g3 [1]) d5×c4
5. Hd1—a4+ Hd8—d7 [2])
6. Ha4×c4 Hd7—c6
7. Sb1—d2 Hc6×c4
8. S2d×c4 Gf8—b4+
9. Gc1—d2 Gb4×d2+
10. Sc4×d2 Sb8—c6
11. Gf1—g2 Gc8—d7
12. 0—0 0—0—0
13. Wa1—c1 Wh8—e8
14. Sd2—c4 We8—e7
15. Wf1—d1 Gd7—e8 [3])
16. a2—a3 Sf6—d5
17. b2—b4 Sd5—b6
18. b4—b5! Sc6—b8
19. Sc4×b6+ a7×b6
20. a3—a4 f7—f6
21. Gg2—h3! Ge8—d7?? [4])
22. Sf3—d2!! [5]) Wd8—f8
23. Gh3—g2! c7—c6
24. Sd2—c4 Kc8—c7
25. e2—e4 c6×b5
26. a4×b5 Gd7×b5
27. d4—d5! e6×d5
28. Sc4—a3+ Gb5—c6
29. e4×d5 We7—d7
30. Sa3—b5+ Kc7—d8
31. d5×c6 b7×c6
32. Sb5—d4 Czarne poddały się.

U w a g i:

[1]) Właściwe otwarcie katalońskie (wczesne g3 bez c4) zastosowano po raz pierwszy w turnieju w Barcelonie w r. 1929, dopiero później dostosowano ten ruch (g3 w połączeniu z c4) do gambitu hetmańskiego. Sama idea nie jest nową, gdyż już zmarły mistrz wiedeński Schlechter był twórcą tego pomysłu w wariancie Tarrascha gambitu hetmana.

[2]) W partii Keres-Ragozin (Baden 1937) próbowano 5 . . . S—c6, jednak po 6. G—g2 G—d7 7. H×c4 S—b4 8. H—b3 c5 9. S—f3 uzyskały białe przewagę pozycyjną.
Zarówno 4 . . . c6, jak 4 . . . G—e7 i 4 . . . c5 oraz 4 . . . b6 są niekorzystnymi odpowiedziami dla czarnych.
Natomiast najwięcej zasługuje na uwagę 4 . . . G—d7! (jak w partii Petrow-Kotow, Leningrad 1940) i daje tylko nieznaczne korzyści białym.
Słabszym jest 5 . . . Sb—d7, gdyż po 6. S—d2 c6 7. H×c4 S—b6 8. H—d3 c5 9. S—f3 pozostają białe z dość znaczną przewagą pozycyjną.

[3]) Wielokrotna wymiana w otwarciu nie opłaciła się czarnym. Ich sytuacja jest niewygodna.

[4]) Niezbędnym było 21 . . . S—d7, po czym e5!

[5]) Groźba matowa Sc4—b6 decyduje!



PIERWSZY ŚNIEG W GÓRACH

Fot. Archiwum I. K. P.